

Marian Sokołowski

АРХИВЪМ ВЪСХОДНЕ

Urodziłem się w Ostrowcu koło Wilna. Ojciec mój był z zawodu cieślą, matka prowadziła dom. Mam jedną siostrę, która po powrocie z Syberii osiedliła się na Ziemiach Odzyskanych.

W roku 1939 miałem 8 lat. Gdy zaczęła się wojna z Niemcami, idąc ulicą naszego miasteczka, słyszało się z ogólnopolskiego programu radiowego: "Uwaga! Uwaga! Nadchodzi alarm lotniczy dla miasta Warszawy!" Te złowieszcze, wypowiedane z trwogą słowa głęboko się wryły w pamięć. Wtórowały im nadlatujące samoloty niemieckie i zrzucone bomby. Ludzie byli przerażeni.

Rosjanie weszli do nas, do Ostrowca bodajże 19 września. Widok był przerażający - byli to żołnierze ubrani w złej jakości mundury, karabiny niejednokrotnie zawieszane na sznurkach, buty podarte, byli bardzo wygłodzeni. Podchodzili do ludzi stojących przy parkanach i prosili o coś do zjedzenia. Przy ogrodzeniu naszego domu też stała grupka moich krewnych - ciekawych, jak wygląda Armia Czerwona. Wynosili chleb, wszystko co mieli do jedzenia i częstowali żołnierzy. Ludność przyjęła żołnierzy radzieckich ze współczuciem - sprawiali przygnębiające wrażenie, oficerowie traktowali ich źle, opryskliwie.

Na naszym terenie nie było żadnej walki z Armią Czerwoną, ponieważ nikt się nie spodziewał tego, że Armia Czerwona może wejść bez wypowiedzenia jakiegokolwiek wojny.

Oprócz Polaków mieszkało u nas bardzo dużo Żydów - kiedyś na kresach nasze miasteczko nazywano miasteczkiem żydowskim; twierdzono, że jest ich ok. 30-40%. Innych mniejszości nie było - poza kilkoma Tatarami i Rosjanami, którzy schronili się u nas przed rewolucją. Żydzi przyjmowali Armię Czerwoną z entuzjazmem, radością. Polacy ze spokojnym przygnębieniem, ponieważ wiedzieli, że nadchodzi kres państwa polskiego - z jednej strony Niemcy,

z drugiej ^{Rosjanie} ~~Rosjanie~~.

My dzieci byliśmy pilnowani przez rodziców, ponieważ nikt nie wiedział, jak żołnierze radzieccy są do nas ustosunkowani, jakie będą ich reakcje. Pamiętam, że moje zainteresowanie wzbudziły małe armatki ciągnięte przez małe koniki - syberyjskie, jak je sami Rosjanie nazywali. Wyglądało to dla mnie, 8-letniego chłopca zabawnie, bajecznie, przypominało obrazki oglądane w książkach.

W pierwszych dniach po wkroczeniu Armii Czerwonej nie widzieliśmy w naszym miasteczku NKWD. Dopiero po kilku tygodniach pojawili się urzędnicy, milicja, funkcjonariusze, którzy mieli pełnić funkcje administracyjne i państwowe.

Nasze miasteczko dopiero po wkroczeniu Rosjan ogłoszono miasteczkiem powiatowym. Zaczęła się budowa domków - zwożono dworki dawnych szlachciców, dziedziców i ustawiano je w uliczki. Budowano zależnie od zapotrzebowania, przygotowywano je na potrzeby władz powiatowych, rejonowych.

Od pierwszych dni nastąpił brak żywności. Poza ma^{ry}moladą, zwykłymi ^{pr}produktami żywnościowymi nic nie było. Sklepikarze żydowscy pomimo s^{wo}jego entuzjazmu przejawiali dużą ostrożność /nie wiedzieli jak zachowają się żołnierze ra^{di}zieccy wobec nich/ i pozamykali swoje sklepiki. Ta^{ki} niedostatek utrzymywał się przez dłuższy czas - aż do wywiezienia na^s na Syberię.

Nasz teren został włączony przez Rosjan do Republiki Białoruskiej. Oczywiście w tym czasie na^płynęła duża liczba Rosjan z głębi Rosji; zakwaterowywano ich w mieszkaniach Polaków. U nas też mieszka^ł pułkownik straży pożarnej z żoną. Nie byli duczliwi, pretensjonalni. Nie uważali, że im się coś w tym mieszkaniu należy. Dostali jeden p^okój. Obowiązek przyjęcia na kwartę Rosjan nie podlegał dyskusji. Rosyjscy urzędnicy chodzili

po domach i oświadcza*li*, że mieszkać tu będzie rodzina rosyjska. Żadne p*ro*testy i tłumaczenia nic nie dawały. Należało to traktować ja*k*o rozkaz, tym bardz*ie*j, że już mówiono wtedy o zsyłkach na Sybir, ludzie byli bardzo niespokojni.

Rosjanie, jak mi się wydaje, byli bardzo zadowoleni z życia na na*js*zym terenie, ponieważ u nas, pomimo kryzysu spowodowanego wojną i tak życie było dużo lepsze. Po wkroczeniu Armii Czerwonej życie w mia*st*eczku przyga*ś*ło, później jednak znów zaczęło się odradzać - kwitł wolny handel, odbywały się kolorowe jarmarki. Rosjanie odwoływani za karę wyjeżdżali z płaczem, z żalem, że pozostawiają lepsze życie, a jadą z powrotem do siebie, gdzie jest bieda. Tak sami Rosjanie do nas mówili. Szalenie to przeżywali.

Nie tylko Rosjanie piastowali funkcje administracyjne. Przewodniczącym Powiatowej Rady był Polak, który ni z tego ni z owego ogłosił się komunistą. Przed wojną uczęszczał do kościoła w każdą niedzielę i był bliski księdzu. Był robotnikiem w cegielni. Został przedstawiony przez władze rosyjskie jako robotnik, proletariusz itp., itp., same zalety, i obwołany przewodniczącym /odbyło się głosowanie/. Nie pamiętam jego nazwiska - jego rodzina pozostała w Ostrowcu.

Po wkroczeniu Rosjan ogłoszono natychmiast nacjonalizację wszystkich zakładów - wszystko co w prywatnych rękach a służy sp*o*łeczeństwu musi być uspołecznione. Jedynie rolnictwo p*o*zostało jeszcze indywidualne.

Rosjanie przejęli natychmiast szkołę, przywieźli swoich nauczycieli i oświadczyli nam, że musimy się cofnąć o jedną klasę, ze względu na to, że będz*ie*my się uczyć języka białoruskiego i rosyjskiego; białoruskiego dlatego że mieszkaliśmy na terenie, jak mówili, Białorusi, rosyjskiego - jako języka urzędowego. Ja

zostałem przesunięty z klasy drugiej do pierwszej. Szkołę otwarc^{chyba}to w październiku. Mówiono do nas po rosyjsku, ale nauczyciele zna^{li} również język białoruski i nawet polski i jeżeli nie mogli z kimś się doga^{da}ć, to przy^{ch}odzili na białoruski lub polski. Ja nie znałem wcześniej języka rosyjskiego ani białoruskiego, musiałem się go uczyć od podstaw. Klasy były podobne do naszych - połączone wiekowo. Nie pamiętam dokładnie, była chyba jedna czy dwie klasy pierwsze dla Ostrowca i okolic. Szkoła była 7-klasowa.

Począwszy od pierwszej klasy wysłuchiwa^{li}śmy mnóstwa opowiadań wychwalających Związek Ra^dziecki. Jeżeli mówiono o Polsce, to źle. Na^{li}szych przedwojennych przywódców szkalowano jako wrogów Związku Radzieckiego. Robiono to na lekcjach i po lekcja^{ch}. Były np. lekcje wychowawcze, które zawsze wiązano z propagandą. Po za^{ję}ciach byliśmy zobowiązani przychodzi^ć do szkoły i tam w zależności od nauczyciela odbywały się zajęcia^l: recytacje, piosenki ros^yjskie, proletariackie, wyświetla^{no} filmy - praca propagandowa od pierwszych dni ruszyła pełną parą.

Zapisa^{no} nas wszystkich do pionierów, przydzielano czerwone chustki trójkątne, obowiązywały nas zbiórki, musieliśmy śpiewać piosenki ros^yjskie, kwitła propa^ganda - wychwalanie Stalinga i wszystkich, którzy byli na piedestale. Ja też byłem pionierem, jak każdy. Nie było takich, którzy by się uchylili - to było obowiązkowe. Zbiórki odbywały się kilka razy w tygodniu.

Do szkoły ros^yjskiej chodziłem dwa lata. Nie pozostał ani jeden nauczyciel polski, wszyscy byli Rosjanami.

Była w Ostrowcu sa^{la}, gdzie odbywały się dla mieszka^lców ^{spotkania}mitingi, wieczornice, seanse filmów propa^gandowych, wychwalające mądrość przywódców radzieckich. Mówiono o nich jak o ludziach nadzwyczajnych - tylko dzięki nim Związek Radziecki powstał.

Na ulicach zamontowano głośniki, przez które informowano ludność o zebraniach, odczytach, przekazywano ostrzeżenia i pouczenia. Informacje przez megafony podawano po rosyjsku.

Już w 1939 roku zaczęła się psychoza wywózek - Polacy, którzy byli zatrudnieni w administracji i innych zakładach otrzymywali informacje od Rosjan pracujących z nimi o wywożeniu ludności polskiej na Syberię /nie wszyscy Rosjanie byli negatywnie ustosunkowani do Polaków; wiedzieli, że nam się krzywda stała/. Mówiło otwarcie o wywożeniu Polaków na Syberię.

Pamiętam pierwszą wywózkę, chyba w grudniu 1939r. lub styczniu 1940 r. Wywożono dziedziców, leśników, oficerów, podoficerów rezerwy, urzędników, policjantów, nauczycieli, całą elitę polską. Oczywiście na raz tego zrobić nie mogli, zbyt dużo ludzi wywożono, więc ciągnęło się to do końca 1940 r bez przerwy. I później, już po wywiezieniu wszystkich bogatszych ludzi, ludzi, którzy zajmowali wyższe stanowiska - w administracji, szkolnictwie, leśnictwie - dobierano się do biedniejszych, do których też ja należałem.

Wywózki tłumaczyliśmy sobie jako karę za naszą, Polaków przedwojenną postawę antyradziecką oraz chęcią Rosjan do wprowadzenia swoich ludzi do naszych domów, żeby się umocnić na naszych terenach.

18 czerwca 1941r. przyszła kolej na naszą rodzinę. Wieczorem poprzedniego dnia "przecieki" mówiły, że będzie jakaś wywózka. Z 17 na 18 czerwca nocowałem u swojego wujka, który był dzierżawcą majątku położonego po sąsiedzku, u dziedziców S^ebanków. O godz. 6 rano znajoma przybiegła z wiadomością, że mamusia poleciła mnie przyprowadzić do domu, ponieważ Rosjanie wywożą rodziców na Syberię. Wujek, mamusi brat, mówił: "Nie idź do domu, uratujesz się chociaż ty jeden." Nie dałem się przekonać. Mamusię wywo-

żą, jak ja mogę zostać! Ja nie mogę zostać!" Bardzo się przera-
ziłem, przejąłem, że rodziców wywożą. Pomyślałem sobie, co ja
zrobię sam. Wujek dobry, ale na krótko. Ale jeżeli to ma długo
trwać, rodziców nie będzie, ewentualnie rodzice zginą, to lepiej
żebym ja też zginął. Tak sobie tłumaczyłem dziecięcym rozumem.

Wiedziałem, co nas na Syberii może czekać, bo w domu roz-
mawiano się o tym bardzo często. Ludzie, którzy byli kiedyś na Sy-
berii opowiadali, jakie przechodzili tortury i głód i nędzę i
wszystko co najgorsze. To mi utkwilo w pamięci.

Kiedy wróciłem do domu, ojca już nie było - zabrało go NKWD;
mama z siostrą^o siedziały przy stole. Po moim wejściu natychmiast
złapał^ł mnie człowiek z NKWD i kazał mi siadać. Usłyszałem przez
okno wołającego mnie kolegę, poderwałem się, nie zdając sobie
sprawy, że to taka groźna sytuacja i chciałem wyjść. Ale ten czło-
wiek podbiegł z karabinem i zatrzymał mnie. NKWD miało bardzo
długie karabiny; ponieważ wielu z nich było niskiego wzrostu,
karabiny były wyższe od nich.

Ludzie^z NKWD byli bardzo niegrzeczni dla Polaków - mama chcia-
ła zabrać z domu jakieś rzeczy, ale oni wszystko jej wrywali i
krzyczeli "Nie nada!". Przybiegł do nas wujek, jakoś się dostał
do tego mieszkania, powiedział, że jest bratem mamusi i chce nam
pomóc. NKWD-ista^{ta} z ociąganiem się zgodził i to, co wujek złapał
i powrzucał do worków, zabraliśmy /reszta została/. Były to rze-
czy osobiste, ubrania, jedzenie - głównie wędzonki, dzięki którym
przeżyliśmy podróż na Syberię i później długie miesiące zimo-
we 1941 r.

W czasie gdy jeden z NKWD-istów pilnował nas w pokoju, prze-
prowadzono rewizję - przewrócono "do góry nogami" cały dom. Mi-
mo że NKWD nic kompromitującego nie znalazło, bo nic takiego nie
było, kazano nam w ciągu 10 minut zabrać nasze rzeczy i zakado-

wano nas na furmankę, która czekała już przed domem. Wujkowi nie pozwolono pójść ~~z~~ na ^z nami. Po wyjściu przed dom zauważyliśmy, wiele innych furmanek ciągnących od strony miasteczka - formowały się w konwój.

Zawieziono nas na sta^encję w Budoga¹jach, gdzie czekały już bydł^ece wagony, czekały na bocznic^y. Z Ostrowca do stacji Budog⁶aje było 4 km. Zaraz po przyjeździe na stację załadowano nas do wagonów. Nie były one duże, do jednego zmieściły się 24 osoby razem ze swoim dobytkiem - po ulokowaniu się w wagonie nie został nawet ~~skrawek~~ miejsca. Każdy w kąci^{ku} poukładał swoje tobołeczki. Tam trzeba było spać, siedzieć całymi dniami¹. Poruszać się nie było gdzie.

Na sta¹ncji Budogaje staliśmy całą dobę. Po załadowaniu do wagonów zamknięto nas i nie pozwalano się stamtąd ruszyć przez całą dobę. Okna były maleńkie - mogło się przez nie przecisnąć z trudem tylko dziecko. Pozakładano na nie ~~na~~ na razie jedynie druty. Przez cały czas pobytu na stacji Budogaje nie dano nam nic do zjedzenia. Rodziny i przyjaciele, którzy nie byli wywożeni mogli nas obserwować ^{jedynie} tylko z daleka, nie mogli nic nam po dać. Ktoś po kryjomu otrzymał suchary od rodziny, ale działało się to z narażeniem życia.

W wagonie początkowo nie było żadnych sanitariatów, w naszym postawiliśmy wiadro, z którego musiał^y korzystać 24 osoby - można sobie wyobrazić, jaki był niesamowity smród. Było przecież lato, upał.

Pamiętam z opowiadań, że ze stacji Budogaje wyruszyło ok. 16 wagonów w kierunku Mołodeczna. Mołodeczno było stacją węzłową - napływały tam z różnych kierunków wagony z ludźmi przeznaczonymi do wywózki. Łączono je wszystkie w jedną całość - formowano transport, zakładano kraty na okna, zakładano specjalne drzwi,

zabezpieczano je. Dodatkowo w co 2,3 wagonie jechał NKWD-ista. Nie jechał on jednak wewnątrz, a na zewnątrz - w niektórych wagonach były specjalne platformy, załdane i przylegające bezpośrednio do wagonu, tworzyły rodzaj zamykanej budki. Bezpośrednio po za trzymaniu się pociągu, z każdej z takich budek wyskakiwał NKWD-ista, chodził dookoła i obserwował pociąg. Nie można było wychylać się ani nawet położyć ręki na brzegu okna, ponieważ NKWD-ista zaraz krzyczał, że będzie strzelał. W czasie pobytu na stacji Gudogaje i w czasie podróży do Mołodeczna nie dostaliśmy wody, dopiero w Mołodecznie jeden człowiek z wagonu mógł wyjść i przynieść jedno wiadro wody na 24 osoby. Później, jak zatrzymywaliśmy się, to do wagonu podchodził NKWD-ista i oświadczał, że jeden ma się przygotować z wiadlerkiem po wodę. I NKWD-isci zabierali ludzi przynoszących wodę dla całego wagonu. Brano ją z pomp stacyjnych. Wyglądała na czystą.

Też dopiero w Mołodecznie ^{wol} pozwolono nam na opróżnienie wiader, służących za sanitariaty i porobiono w wagonach otwory. Założyliśmy tam kotary, zrobione ze starych kocy - mimo to było to bardzo krępujące. Ludzie przecież siedzieli prawie jeden drugiemu na głowie.

Jakkolwiek w Mołodecznie wagon otwarto, pierwszy raz od załadowania, to wyjść nam nie pozwolono. Pierwszy raz wysiedliśmy dopiero po 10 dniach.

W Mołodecznie pociąg stał niedługo, około 10-11 godzin. Z Mołodeczna powiedziano nas dalej do Mińska. Jechaliśmy 3-4 godziny. Dojechaliśmy o świcie.

W czasie postoju w Mińsku przeżyliśmy nalot lotniczy. Niemcy bombardowali dworzec kolejowy. Widzieliśmy wystraszonych NKWD-istów, którzy chowali się pod wagonami, nam jednak oświadczyli, że jeśli ktoś spróbuje uciekać, oni są w pobliżu i zas-

trzelą każdego, kto się tylko ruszy. Nikt się nie odważył, zresztą nie było jak wyjść - pozamykane wszystko.

Po nalocie natychmiast wieziono nas ^(z pełnym impetem) na wschód, nieraz doczepiano po dwie lokomotywy, byle jak najdalej od miejsca zagrożenia. Naszego transportu żadna bomba nie trafiła, mimo że był to duży transport, ponad 40 wagonów - na trasie na dużych zakrętach widzieliśmy inne wagony, czasami dla zabawy je liczyliśmy.

Nasz wagon był niewielki - 16-tonowy; ale były również większe: 24, 30, 40-tonowe. Wchodziła tam odpowiednio większa ilość osób.

Z Mińska na wschód jechaliśmy w pobliżu Moskwy /ktoś z dorosłych twierdził, że do Moskwy jest ok. 25 km./, dalej Kujbyszew, później zboczyliśmy w prawo na południe nad Morze Kaspjskie, Myśleliśmy, że wiozą nas do Kazachstanu. Okazało się, że jednak cofnięto nas z powrotem na szlak syberyjski i dojechaliśmy do Nowosybirska. Z Nowosybirska skierowano nas na południe w kierunku mongolskiej granicy, w kierunku Bijska.

Przez pierwsze 10 dni nie dostaliśmy nic do jedzenia; dopiero po tym czasie wyznaczono po kilku mężczyzn z każdego wagonu i zaprowadzono ich po zupę dla reszty. Przez te pierwsze 10 dni wszyscy żywiliśmy się zabranymi z domu zapasami. Nasza rodzina miała dość dużo jedzenia - jeszcze przez około 3 miesiące na Syberii żywiliśmy się tym, co zabraliśmy ze sobą. Nie wszyscy jednak mieli wystarczającą ilość. Były rodziny bardzo biedne. Pamiętam rodzinę z pięciorgiem dzieci: 82-letnią kobietę z młodą kobietą - matką tych dzieci. Jej męża zabrano z domu na NKWD i w czasie gdy zabierano resztę rodziny, ona chyba straciła głowę i nic nie zabrała. Ta rodzina później mieszkała z nami.

Zupę w ciągu całej podróży podano nam trzykrotnie - wodnitą, bardzo cieniutką. ^Ponieważ poza tym żywiliśmy się suchym pro-

wiantem, to i taka zupa była bardzo przydatna. Wodę do picia podawano nam tylko zimną. A byliśmy przecież również bez ruchu. Spora grupa osób cierpiała na rozmaite przypadłości jelitowo-żołądkowe, bóle brzucha, zaparcia itp. Ja też miałem atak bólu^u żołądka. Wiłem się. Stosowaliśmy wtedy masaże i inne wypróbowane domowe sposoby leczenia tego typu chrób^o. Ludzie sobie jakoś radzili. Przypadków poważniejszych chrób^o w naszym wagonie nie było.

W czasie podróży ludzie zachowywali się w bardzo różny sposób - część z nich podtrzymywała na duchu pozostałych, część załamywała się psychicznie. Dla tych, którzy dostali obłądu doczepiono z tyłu pociągu specjalny wagon. Był też doczepiony wagon dla zwłok, które na stacjach przekazywano dalej. W naszym wagonie nikt nie umarł.

Raz w czasie podróży /mniej więcej w połowie drogi/ zaproponowano nam pójście do łaźni. Chcieliśmy oczywiście z tego skorzystać, ale okazało się, że woda w łaźni była lodowata - ledwo można było się opłukać. Łaźnia mieściła się zaraz przy dworcu kolejowym - olbrzymia hala /myślę, że przeznaczona dla wojska/ z kranami, z prysznicami, w której mieściło się około 100-200 osób. Najpierw szły kobiety, później mężczyźni. W czasie naszego przejścia do łaźni bardzo nas pilnowano. Chyba miejscowe NKWD zasilało dodatkowo naszych strażników - nie było możliwości ucieczki.

Z Ostrowca wyjechaliśmy 19 czerwca a na miejsce do Trójcka dojechaliśmy 15 lub 16 sierpnia. W ciągu tego czasu wypuszczono nas tylko 3 razy. NKWD-ści obstawiali cały teren wokoło wagonów i pozwalali nam troszeczkę spacerować, załatwiać potrzeby fizjologiczne itp. Pociąg stawał na bocznicach, tak że nie mogliśmy się kontaktować z ludźmi spoza transportu. Co parę metrów stał umundurowany NKWD-ista z karabinem gotowym do strzału.

NKWD-istów poznawaliśmy po czerwonych otokach na czapkach i

po czerwonych naszywkach. Żołnierze rosyjscy, z armii, byli bardzo lichy ubrani, nosili takie spiczaste czapki, jakie można oglądać na obrazkach z okresu rewolucji. Bardzo szaro, bardzo mizernie wyglądali. NKWD-iści byli znacznie lepiej ubrani.

Z konw^oijentami podczas całej drogi nikt nie nawiązywał żadnych stosunków - odnosili się do nas bezosobowo, byli wrogo nastawieni, cały czas grozili nam śmiercią w razie nieprzestrzegania ich poleceń. Byli to ludzie w ogóle nie do rozmowy. Wydaje mi się, że byli dobierani, bardzo wrogo w ogóle nastawieni do ludzkości, ogólnie, nie tylko do nas. Nie pozwalali kontaktować się z innymi wagonami, nie mówiąc już o ludz^ości miejscowej. Zawsze byliśmy izolowani. Nawet w łaźni ktoś puszczał i zamykał wodę z ukrycia.

Transport skończył się w miejscowości Trojck - było to miasteczko powiatowe. Dotarło tam już tylko 15 wagonów, bo już od Barnauła transport dzielono - na każdej stacyjce odczepiano po kilka wagonów.

Kazano nam się wypakować. Nam, to znaczy ośmiu rodzinom z różnych wagonów, przeznaczonych do jednego kołchozu. Były to same kobiety z dziećmi. Wyładowano nas w pierwszej kolejności, więc nie wiem, co się z resztą stało. Słyszałem tylko, że wagony jechały jeszcze dalej i że rodziny z mężczyznami wieziono do Tajgi na wyrąb lasu. Od Trojcka szła linia kolejowa w głąb Tajgi - stamtąd dowożono drzewo do miast.

Czekały na nas furmanki konne z przewodniczącym kołchozu Leninskoje, który był z nami rok, do czasu, gdy zabrano go do wojska. Wiózł nas z paroma Rosjanami - wtedy było jeszcze trochę mężczyzn w kołchozie. Później coraz mniej, mniej i zostały same kobiety, kompletny babiniec. Mężczyzna to albo inwalida ze znacznymi upośledzeniami, staruszek albo podrostek. 14, 15-letni byli najstarsi.

Od pierwszego momentu nie specjalnie nas traktowano. Przewodniczący był Rosjaninem. Służbistą. Chcieliśmy np. załatwić potrzeby fizjologiczne w czasie jazdy. Nie pozwolił wysiadać. Mówił: dojedziemy, dopiero wam pozwolę. Jechaliśmy cały dzień. Z Trojcka do naszej miejscowości było trzydzieści kilka kilometrów polnymi drogami. Konie szły przez cały czas noga za nogą.

W kolchozie wszystko było przerażające. Ulokowano nas w domku zlokalizowanym na cmentarzyku. Nie w tym jednak była groźba, a w tym ile tam było pluskiew, pcheł. Nie sprzątnięto po naszych poprzednikach - jakichś robotnikach - tylko na ten piasek z pchłami, pluskwami kazali ^snowić nam nasze rzeczy. ^aKżdy obrzą jakiś kącik. Był już wieczór. Światła elektrycznego nie było. Nastąpiło u nas, przybyszów kompletne załamanie. Nawet nie mieliśmy czym odgarnąć piasku, by jakoś ułożyć się na podłodze. Przez pierwszą noc tak nas kąsały pchły i pluskwy, że nie mogliśmy rana doczekać.

Domek był maleńki. Składał się z dwóch małych pokojów /ok. 15 m² jeden/, każdy z osobnym wejściem. W jednym pokoju ulokowano po cztery rodziny. Rodziny nie były liczne co prawda, poza tą jedną siedmioosobową /z babcią/, ale jednak w tak małym pomieszczeniu... Nas było troje, państwa Kościukiewiczów troje, pani Szymańska sama i pani Matuszewicz też sama. W sumie więc piętnaście osób w takim jednym małym pokoiczku. W tym domku mieszkaliśmy do jesieni.

Przez tydzień spaliśmy na podłodze, na swoich tobołkach. Później przewodniczący kazał Rosjanom poprzynie^csić dla nas stare łóżka. Pozbijaliśmy je jakoś do kupy. Każda rodzina spała na jednym łóżku. Pluskwy bez przerwy spadały z sufitu, prosto na człowieka. Nożi od łóżka stawialiśmy do naczyń z wodą - początkowo nie mogliśmy się zorientować i sądziliśmy, że dostają się

do nas od podłogi.

Rano następnego dnia po przyjeździe zjawił się przewodniczący, ten sam, który nas odbierał ze stacji w Trojcku i krzyknął, że wszyscy mamy wychodzić na podwórze. Palcem wskazywał, kto ma się ustawić po prawej stronie, kto po lewej. Pomyślałem sobie, że na pewno trafię na lewo, gdzie dzieci ustawiał, a on mi kazał stanąć na prawo - tak jak mamusi i siostrze. Wszystkich nas zabrał do pracy. Mamusia wybłagała, żeby siostrę zostawił, godząc się, że już my we dwójkę pójdziemy. Robotnicy mieszkający w pobliżu w barakach okradali wszystko, a po podziale okazało się, że w naszym domku zostanie tylko ta starsza 82-letnia babcia z pięciorgiem małych dzieci i jeszcze jedna pani z Warszawy. /wywieziono ją przypadkowo, była u rodziny, chyba na Polesiu i tam ją zgarnięto/. Nie było więc komu pilnować nawet tak małego dobytku, jaki mieliśmy. Więc przewodniczący zgodził się w końcu na pozostawienie siostry.

Domek stał samotny na uboczu między zakładem a wsią, oddalony od jednego i drugiego pół kilometra. Rosjanie mieli zakaz zbliżania się do niego. Nam do wsi nie wolno było chodzić. W pracy jakkolwiek stykaliśmy się, to żadnych więzi z Rosjanami wtedy nie było. Wyglądało na to, że mieli zakaz rozmowy z nami. Jeżeli nie było nikogo w pobliżu, parę słów zamienili. Ale gdy inna osoba się pojawiła, nie było już żadnych dyskusji. Widać było lęk,

Pracowaliśmy równo z nimi. Matki, których mężowie byli na froncie, a ~~matki~~ taka była reguła, miały może jakieś ulgi, ale młodzież w wieku przedpoborowym pracowała normalnie. Było też trochę starszych osób. Pracowaliśmy w kołchozie, bardzo daleko od naszego osiedla. Szło się 15 km w jedną stronę. Pieszko. Cały dzień pracy i z powrotem też pieszko. W międzyczasie dawano nam tylko do wypicia z kubków jakąś polewkę i tym żyliśmy. ~~W~~ potem

jeszcze jakoś było, znalazło się jakiś korzeń, jakieś cebulki rosły, jadło się wszystko, co się spotkało. Jarzębiny, czeremcha.

My, Polacy na ogół byliśmy zatrudnieni cały rok. Robiliśmy wszystko - to co w kolejności następowało: sianokosy, żniwa, wykopki ziemniaków. Jak się kończyła praca w polu, zaczynały się inne prace. Zimą pracowaliśmy przy zwózce drzewa.

W ramach kołchozu kilka hektarów uprawiano, a reszta leżała odłogiem - piękna, żyzna ziemia. Serce się krajało. Piołun rósł z łodygą jak pień drzewa: wielki. Gdy krowa weszła na takie pole, nie było jej widać.

Wszyscy w domku pochodziliśmy z ^{ej} ~~jednej~~ okolicy. Więzy między nami były więc dosyć ścisłe. Żyliśmy ze sobą w wielkiej zgodzie, pomagaliśmy jeden drugiemu, jak mogliśmy, na ile nas było stać. A stać nas było na bardzo mało. ^a ~~K~~żdy przecież myślał o ratowaniu przede wszystkim własnej skóry - takie życie jest niestety.

Później spotkałem kilku Polaków w odległości 12 km od naszego kołchozu. Doszliśmy tam z kiedys z jednym kolegą, Janem Kościukiewiczem - miał wtedy 16 lat. Później ukończył szkołę oficerską w *Riazaniu* Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Teraz jest już w rezerwie. Bardzo dobra rodzina, pochodzili spod Oszmiany, spod Krewa.

Późną jesienią przeniesiono nas do wsi, wszystkie osiem rodzin. Rozdzielono nas jednak na dwa domy po cztery rodziny. Druga grupa mieszkała w domu na końcu wsi. ^y ~~B~~aliśmy z tą grupą jedynymi Polakami we wsi. Nam, czterem rodzinom z poprzedniego pokoju dano jeden pokój z kuchnią. Dom ogrzewaliśmy sami. Musieliśmy sami załatwić drzewo, narąbać, palić w "koziółku" /żelazny piecyk/, który zimą palił się na okrągło, bo inaczej nie wytrzymałibyśmy - mrozy sięgały 55°C. Śnieg spadał już w październi-

i trwało to do końca kwietnia. Leśniczy wyznaczał drzewa, które mogliśmy piłować - jakieś połamane w czasie burzy. Czasem jedna sosna wystarczała na całą zimę, takie były duże. Porąbaną przywoziliśmy do domu saneczkami.

Zapasy żywności skończyły nam się^y końcem listopada, na początku grudnia 1941 roku. Wtedy mieszkaliśmy już we wsi. Brakowało wszystkiego.

Jednego razu padł jakiś koń i wtedy pozwolono nam powycinać kawałki, ale tak się złożyło, że ani mamusia, ani ja z siostrą nie wiedzieliśmy o tym i nie skorzystaliśmy. Z naszej gromadki jedynie pani Matusz^uewicz przechodziła tamtędy i skorzystała - Rosjanin odciął jej kawałek mięsa.

Oprócz zapasów jedzenia mieliśmy jeszcze ubrania. I te ubrania wymienialiśmy na ziemniaki. Rosjanie dyktowali cenę, to znaczy ilość wiader ziemniaków, wiadro było miarką. Każdy Rosjanin starał się mieć jak najmniejsze wiader^{er}ko. Kobiety, jeśli miały, sprzedawały biżuterię, nawet obrączki i medaliki, by tylko utrzymać się przy życiu. Wszystko to był hande^l wymienny. Pieniądzy żadnych nie mieliśmy i w ogóle pieniądze tam nie kursowały. Sklepów nie było - a jeżeli były, to puste. A za pracę płacono w naturze, z pominięciem pieniędzy. Nie przypominam sobie, by kiedyś można było za pieniądze coś kupić.

Gdy znaleźliśmy się w wiosce, kontakt z Rosjanami był bliższy. Już nawiązywaliśmy znajomości, chociaż ciągle od nas stornili. Ciągle się obawiali - długo trwało zanim zmiany stosunków na szczeblach dyplomatycznych dotarły do nas. Rosjanie ciągle przestrzegali weześniejszych zarządzeń milicji, przewodniczącego kołchozu.

Na pewno ich stosunek zmienił się, gdy Sikorski nawiązał kontakty z Rosją i zaczął upominać się o Polaków. Wtedy już bez

powodu się nas nie czepiano. Mogliśmy też indywidualnie docho-
dzić do pracy /przedtem było to niemożliwe/. Ale i tak chodzili-
śmy grupowo, by pracę znaleźć - idąc 15 km po bezdrożach, sztu-
ką było trafić. Na miejscach pracy stały budynki, puste, służą-
ce za schronienie przed deszczem, przed burzą.

Najważniejsze jednak, że mogliśmy wtedy za pozwoleniem władz
rosyjskich przenieść się do dużej miejscowości Jużakowo. Było
to po roku pobytu w kołchozie Leninskoje. W Jużakowie była gmi-
na rada, poczta, posterunek milicji, szkoła. Była też piekar-
nia, garbarnia, gminna spółdzielnia. ~~Każdy z nas miał prawo wynajmować~~
~~z pomocą deklarowaną gospodarzowi~~ Za pomoc deklarowaną gospodarzowi ka-
żdy ² nas miał prawo wynajmować prywatnie mieszkanie. Ale znów
dwie, trzy rodziny mieszkaly w jednym domu. Jakoś trzyma-
liśmy się razem. Pomagaliśmy dziadkowi, gospodarzowi, zwozić
drzewo na opał - również do jego pokoju, kopaliśmy w ogródku,
pomagaliśmy w domu. Był samotny. Zesłany Ukrainiec. Opowiadał
swoje przeżycia: w takiej samej sytuacji się znaleźli jak my.
Współczuł nam, był bardzo dobry. Miał wtedy 82 lata, ale był
czerstwy.

Przepływała przez Jużakowo rzeczka wpadająca do Biji. Na rze-
czce była tama. Ponieważ masy śniegu topniały, w krótkim czasie
gromadziło się bardzo dużo wody i tama ta systematycznie się
rwała. I my, przede wszystkim Polacy, ale i trochę Rosjan, zasy-
pywaliśmy na nowo tamę. Był to niesamowity prymityw. Jedna gru-
pa rzucała ziemię na nosze - dwa drągi połączone deseczkami -
a inni dwójkami nosili nosze i zasypywali wyrwę w tamie. Od
świtu do nocy. Żadnych ustalonych ram godzinowych. I tak na tej
jednej zupie i kawałku chleba, który trzeba było tak dzielić, by
starczyło jeszcze na kolację. ~~A te wszystkie były nąc w porów-~~
~~nanu do potrzeb organizmu~~

Później już jako 12-letni chłopiec miałem stały etat u naczelnika "sielpa" /gminnej spółdzielni/. Przywoziłem go, odwoziłem koniem z lub na stację kolejową Wierszymino^m, 16 km od nas. Jeździł stamtąd do powiatu /około 30 km/. Przyży^eywałem w drodze rozmaite niespodzianki. Krążyli tam umyślowo chorzy i rozmaici zbiedzy z frontu, którzy czasami napadali na ludzi. Dla takiego chłopaka jak ja było to przeżycie. Gdy jechałem na stację, zawsze myślałem, czy dojadę, czy nie. Różnie mogło być.

Jeździłem z naczelnikiem, bo nie było^y komu jeździć. Rosjanie wszyscy byli na froncie. Zostały tylko kobiety i dzieci. A ja jako chłopak 12, 13-letni mogłem nieraz zrobić więcej niż kobieta. Przede wszystkim byłem dużo sprytniejszy w takich pracach. Kobieta nie mogła paść konia w nocy np. - a i w nocy paśliśmy konie; we dwójkę, na ogół ze starszym inwalidą wojennym, który z reguły nie posiadał kończyn, czy miał jakieś inne trwałe kalectwo. On był opiekunem, a ja mu pomagałem: wszystkie prace z końmi ja wykonywałem, a on był tylko do opieki nade mną.

To był rodzaj pracy. Zgłaszałem się do pracy do gminnej spółdzielni. Jak nie powoziłem, to mnie przeznaczali do piłowania drzewa, obsługi garbarni. Robiło się wszystko. Brygadzista chodził i pilnował, czy ktoś nie stoi bezczynnie, bo wtedy miał prawo nie dać należnego chleba.

Z dyskusji jakie nie raz w czasie jazdy prowadziliśmy widziałem, że naczelnik był życzliwie do mnie ustosunkowany. Nie było w nim wrogości takiej, jak w poprzednim przewodniczącym kołchozu /tamten był wrogo nastawiony do Polaków/. Ten był dużo lepszym człowiekiem. Gdy były jakieś możliwości, przydzielał dodatkową żywność. W ten sposób może to wszystko wynagradzał.

Pamiętam, zawoziłem mu półtuszę wieprzową. Jadąc, bez przerwy^y ślinę przełykałem. Zawiozłem, chciałem odjechać, ale żona^a ka-

zała mi poczekać. Zaprosiła mnie do kuchni. Podała mi jakiś napar ziołowy /herbaty tam nie było/. W międzyczasie pokroiła mięso drobno, podsmażyła na patelni i do tego dała mi mały kawałek czek chleba. To było strasznie gorące, ale połykałem. Nie jadłem, ale łykałem. Od czasu wywiezienia, od czasu, gdy nam się skończyły zapasy w 1941 r. nie oglądałem mięsa, masła, słoniny, żadnego tłuszczu. Organizm był wyczerpany. To było jesienią 1943 r. Wtedy już mieliśmy co prawda pomoc UNR-owską. Przychodziły końskie konserwy, ale nie było to świeże mięso. Pierwszy raz po kilku latach zjadłem ten podsmażony boczek.

Ale za bardzo wybieg^{ie}am w przyszłość.

Rok 1942 był tragiczny. Zapasy się skończyły, jedzenia nie było. Nie tylko nas dotykał głód, również Rosjanie głodowali. A przecież ziemie były tam bardzo dobre i nie dlatego nie mieliśmy co jeść, że nie dało się niczego uprawiać lub że ludzie nie chcieli, a dlatego, że nie wolno było. Rosjanom też. Mogli uprawiać tylko 15 arów. Za granicą takiej działki leżała ziemia odłogiem i nie wolno było na nią wejść. A było tej ziemi mnóstwo, tysiące hektarów. I ludzie chcieli ją uprawiać.

Nam początkowo nie wolno było posiadać ^{maszt}działek ogrodniczych, ale w 1943 roku wszystkim ^PPolakom przydzielano 15 arów, a więc tyle ile mieli Rosjanie.

Od czasu pertraktacji Sikorskiego ze Stalinem nie mieliśmy też administracyjnego przymusu pracy, podobnie jak Rosjanie. Ale żeby przżyć, trzeba było pracować.

Na Syberii masowo występuje malaria. Dużo jest komarów roznoszących malarię. Ja zachorowałem w okresie głodowym i chorowałem dwa sezony: 1942 i 1943 r - malaria atakowała latem. Najpierw przychodziły dreszcze i trwały cztery, pięć godzin. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, żeby się ogrzać. Ruskie piece,

olbrzymie, zajmowały pół pokoju takiego jak ten. ^(15 m²) Na górze było dodatkowe spanie. My młodzież pakowaliśmy się zawsze do góry, bo starsze panie nie mogły wejść, a poza tym między piecem a sufitem był tylko metr. Więc ja szybko pakowałem się na ten piec i przykrywałem ^{się} jakimiś łachmanami, ale niezależnie od tego dreszcze trzymały. Później następował kryzys i zaczynała ^ł narastać gorączka. Bardzo szybko rosła do 40°C, zwała całkowicie z nóg, pot spływał. Występowało przy tym niesamowite wyniszczenie organizmu. Dwa lata tak chorowałem. Lekarzy tam nie było. Była tylko jakaś siostra, która podawała hinię, ale hinina przy takim wycieńczeniu powodowała szum w głowie, osłabiała.

Dwa razy zaliczono mnie do umarłych. W pierwszym roku choroby na wiosnę wszystkie funkcje ^o organizmu ustały. Mamusi i siostry nie było w domu. Mieszkaliśmy wtedy już u samotnej Rosjanki, która straciła męża na froncie i tylko ona była w domu. Przestałem nagle oddychać. Była więc pewna, że zmarłem. Byłem strasznie chudy, wycieńczony. Skóra i kości. Przykryła mnie jakaś płachtą. ~~i przekonana była, że nie żyję~~ Opowiadała, że nie ^ł wiedziała dokładnie, ile leżałem w bezruchu. Po jakimś czasie oddech wrócił i kaszel. Przybiegła, zrzuciła płachtę. Dała mi wody. Powoli dochodziłem do siebie. Świat widziałem jak przez mocno zamglone okulary. Krótco potem poprzychodziły z pracy siostra, mamusia i jeszcze jedna mieszkająca tam Polka. Widziałem ich, ale nie miałem siły rozmawiać. Płakały, że teraz się udało, ale wiedząc ^e też, że jak taki stan się powtórzy, to i tak będzie koniec.

W 1942 roku mamusia zachorowała na tyfus. Liczyliśmy się już z tym, że ją pochowamy. Były dni, gdy w ogóle nie dawała znaku życia. Do tego głód. ~~Byłem już wtedy starszy~~ To było już w Jużakowie. Mamy nie było czym leczyć. Przychodziła siostra, która poza hinią nic nie miała. Staralem się przynieść ^ć mamusi

Byłem już wtedy starszy,
jak najwięcej jedzenia. ~~Miałem~~ już kontakty z Rosjanami. Co tylko mogłem, zdobywałem. Chodziłem pomóc temu, temu, żeby chociaż te dwa, trzy ziemniaczki do domu przynieść, żeby chociaż matce zupy ugotować. Jak mogłem do pracy chodzić, to chodziłem, bo jako pracownik dostawałem 350 g chleba dziennie, a gdy nie pracowałem, tylko 120 g. Więcej jeszcze nawet nie mając sił pracować /malaria/, już się brałem do pracy. Żeby zdobyć chleb, którym dzieliłem się z mamą. Pół musiałem zjeść, żeby utrzymać siły, a pół zawsze mamie przynosiłem. Rosjanki nam doradzały gotować soloną wodę. Przynosiły cebulę i dawaliśmy mamusi do picia osolony ~~wódek~~ ^{wywar} z cebuli. Jak nie było już nic, chodziliśmy po śmietnikach i zbieraliśmy łupiny, płukaliśmy w kilku wodach i gotowaliśmy zupę. Te łupiny, które Rosjanie wyrzucali były bardzo cieniutkie.

Kiedy Anders wyprowadzał swoje wojska, wszyscy chcieliśmy wyjeżdżać. Było to w kwietniu. Zaczęły się tworzyć roztopy. W związku z tym, że przewodniczący trochę się udobruchał i patrzył łaskawszym okiem na Polaków, poprosiłem go, by przydzielił nam woły. Tam jeździło się wołami, konie były na wymarcu. Wszyscy - trzy rodziny, tak jak mieszkaliśmy - załadowaliśmy się na cztery furmanki /sanie/. Zawieziono ~~nas~~ ^{nas} na stację Wierszynino i tam mieliśmy otrzymać wagony na dojazd do Kazachstanu i dalej do granicy perskiej. Ale niestety było to za daleko. Zanim opieszali Rosjanie, a wszystko robili opieszale, wagony podstawili, okazało się, że już granica zamknięta. Proszę sobie wyobrazić, dwa tygodnie siedzieliśmy na naszych tłumoczkach, spaliśmy w poczekalni na podłodze, w nadziei, że może się uda. Interweniowaliśmy u naczelnika stacji, ale wszystko bezskutecznie. I po dwóch tygodniach przyszedł NKWD-ista i kazał jechać z powrotem do kołchozu, twierdząc, że nie wyjedziemy ze

Związku Radzieckiego. Lament, płacz, ale trzeba było wracać z powrotem. Powiedział, że gospodarze, u których mieszkaliśmy przyjmą nas, bo są powiadomieni. Nie byli powiadomieni.

Stosunki z Rosjanami układały się różnie. Ci, którzy mieli pojęcia wypęzzone to w ogóle wrogo się do nas odnosili. Podkreślali w każdym kontakcie nasze kiedyś zwycięstwo nad nimi: że ich pogoniliśmy do Kijowa, że dawaliśmy im w skórę jako naród. Podkreślali niechęć do nas, czasem agresję. A ludzie prości byli bardzo dobrzy. W 1943 r. poznałem Rosjanina w moim wieku, sąsiada. Jego mama kazała mnie przyprowadzać na obiad. W moim pojęciu były to luksusowe obiady - ziemniaki okraszone masłem. Oni mieli swoją krowę.

Kołchoźnik mógł trzymać własną krowę, z tym że nie dawano mu nic na karmę. Nie mógł też kawałka łąki wykosić, czy coś takiego. Ten kolega Rosjanin widział, że jestem mu życzliwy, więc namawiał mnie: "Widziałem kawałek łączki, chodź skosimy." Raz pojechaliliśmy, skosiliśmy. Szybciutko, szybciutko. Jak widzieliśmy, że ktoś jedzie, chowaliśmy się za krzakami. By zabrać to siano, musieliśmy znów wykradać się w nocy, gdy nikogo nie było.

Braliśmy to, co było na polu - nieskoszone gniło, marnowało się. To była kradzież. Łąki były wspaniałe, ale nie można się było na nich pokazywać. Nie daj Boże jak złapał na takim polu. Nie wiem, co to by się stało. Nawet nie mogę sobie wyobrazić. Smały, to od razu. Przewodniczący nie jednemu skórę trzepał nagają - kozią stópką z plecionym ze skóry batem.

W związku z tym, że wojska radzieckie dostawały pomoc z UNR⁷ i dla Polaków przychodziły specjalne wagony. W Barnaule bodajże była ambasada polska i stamtąd pracownicy tej ambasady kierowali wagony na poszczególne stacje. Tylko że Rosjanie mieli nad tym pieczę i niewiele nam się dostawało. Nawet słyszeliśmy o wy-

padkach, gdy wagony podstawione wieczorem, rano już były puste. - ^oWpróżnione przez nieznaną osobników. Ale już trochę pomocy było: dostawaliśmy mąkę, mleko w proszku, kurtki wojskowe, koce, używane rzeczy, ale w dobrym stanie. Często rzeczy wymieniane były na rosyjskie - Rosjanie przechwytywali amerykańskie a dawali swoje. Wszystko to było bardzo potrzebne, bo zostały nam już tylko łachmany. Pamiętam kozuch zabrany z ^kKresów. Tak już się powycierał, że same dziury, ^awełny wychodziła na zewnątrz.

Nie było kartek. W każdym miejscu pracy był jakiś brygadzysta i wiedział, ilu ludzi ma w pracy w danym dniu. Chleb przywożono konikami i brygadzysta pobierał go tyle, ilu miał ludzi. W razie jakiejś niedowagi i tak nie można było robić afery. Każdy i tak był zadowolony - ile dostał, tyle dostał, ważne, że dostał. Natomiast niepracujący nic nie dostawali, chyba że było tak jak u nas: mamusia pracowała, ja nie pracowałem, to mamusia w pracy dostawała chleb dla mnie, ale mniejszą porcję, 120 g. Ja wolałem zawsze pracować, bo zawsze to była większa porcja.

Zimą 1942/43 r. poszedłem do szkoły. Na okres zimowy. Wiosną oczywiście szliśmy do pracy. /Prace polowe zaczynały się już od kwietnia./ Polacy nie mieli obowiązku chodzenia do szkoły podstawowej, miejscowi musieli. Była to szkoła rosyjska, 10-lata. Nie mieliśmy wtedy trudności z dostaniem się do tej szkoły. /Dzieciom młodszym nie robiono trudności./ Ja poszedłem do trzeciej klasy. Program był normalnie 10-miesięczny, jak u nas, tylko że ja musiałem nadganiać wobec dzieci rosyjskich, które uczęszczały do szkoły normalnie. Pomagała mi jedna nauczycielka z Leningradu. Chodziłem do jej mieszkania, gdzie przerabiała ze mną materiał. Tak że przyjeżdżając do Polski miałem świadectwo ukończenia 6 klasy. W związku z tym, że w pracy stale posługiwałem się językiem rosyjskim i nauka w szko-

le była łatwiejsza. Szybko się nauczyłem rosyjskiego.

Program jak na owe czasy był na dosyć wysokim poziomie. Np. matematyka, język Rosyjski, geografia i inne zbliżone były do poziomu w szkołach polskich. Geografii świata uczono w 6 klasie. Polski na mapie nie było. Mapa pokazywała granicę między ZSRR i Niemcami wyznaczoną paktem radziecko-niemieckim z 1939 r. Nie było nawet Generalnej Guberni, nic. Byłem jedynym Polakiem w klasie. /^yW klasach o rok i dwa niższych było paru Polaków./ Musiałem cicho siedzieć. Historii Polski oczywiście nie uczono. O Polsce raczej tylko wspomniano przy okazji przerabiania Europy jako o byłym kraju, obecnie nie istniejącym. "Teraz Polski nie ma." - tak mówiła nauczycielka.

Traktowano mnie w tej szkole dobrze. Tym bardziej, że uczyli w niej przeważnie nauczyciele z Moskwy, Leningradu. Miejscowych prawie nie było. Okazało się, że miejscow^yymi nauczycielami byłoⁱ z reguły młodzi mę^zczyźni, którzy musieli iść do wojska.

Przyszedł koniec wojny. My Polacy cieszyliśmy się bardzo, bo to się wiązało z powrotem do kraju - to znaczy mieliśmy taką nadzieję. O nas, Polakach nic się wtedy nie mówiło. O 9 maja podawali^b w komunikatach rad^jowych, ale informacje te były tak nieprawdopodobne i mało miarodajne, że nie bardzo mimo wszystko wierzyliśmy w koniec wojny. Nie mogliśmy uwierzyć. Zaczęliśmy wierzyć, dopiero gdy rozpoczęła się demobilizacja i zobaczyliśmy powracających żołnierzy radzieckich.

Im bliżej wyjazdu, tym dokładniejsze wieści docierały do nas różnymi drogami, przeciekami. W szkole mówiono, że Polski nie ma, ale do nas dochodziły różne strzepy^o w^ojskach polskich. Odbywały się^ę też zebrania prowadzone przez mężów zaufania, na których nam tłumaczono, że Polska będzie, ale w innych granicach. I dopiero w 1945 r. dowiedzieliśmy się, że już te grani-

ce zostały zaakceptowane przez stronę polską i że wileńszczyzna i ościenne województwa będą zajęte przez Związek Radziecki. Wtedy straciliśmy nadzieję. Nie chcieliśmy po raz drugi należeć do ich wspólnoty. Ale zależało nam przecież też na tym, żeby wrócić tam, gdzie dom, miejsce urodzenia, dzieciństwo. Okazało się to nierealne. Wyjechaliśmy do Polski.

Formalnie oczywiście można było wracać na swoje tereny. Rosjanie bardzo szli na rękę tym, którzy się na to zdecydowali. Jedna tylko rodzina, jak mi wiadomo, wróciła do siebie, jeszcze przed zakończeniem wojny. Było w niej trzech chłopaków w moim wieku. Później byli bardzo niezadowoleni, ale już nie mogli wyjechać. Musieli przyjąć obywatelstwo chyba białoruskie. Powiedziano nam w ten sposób: jeżeli przyjmujemy obywatelstwo białoruskie z racji zamieszkania na Białorusi, to zawiozą nas na nasze tereny. A jeżeli nie przyjmujemy, to musimy długo czekać na powrót do Polski. Zdecydowaliśmy się na to drugie i dlatego dopiero w 1946 r. wyjechaliśmy. A sądzę, że gdybyśmy podpisali zgodę na obywatelstwo białoruskie, wyjechalibyśmy wcześniej.

Mężowie zaangażowani byli z nami w kontakcie. Mieli program ewakuacji - powrotu. Organizowali podstawienie naszych wagonów. Załatwiali transport wołami do stacji. W Jużakowie było osiem rodzin, a później siedem. Jedna tylko pani, ta najbiedniejsza która miała pięcioro dzieci i babcię staruszkę na własną rękę wydostała się z Armią Andersa. Zdążyła. Ale pewnie jej ktoś pomógł - inaczej nie dałaby rady. To była jej jedyna szansa przeżycia: jako jedna zdolna w tej rodzinie do pracy nie była w stanie zapewnić nawet najskromniejszego wyżywienia.

Transport ruszył prawdopodobnie 14 kwietnia 1946 roku ze stacji Wierszynino. Do stacji jechaliśmy wołami, 16 km. Podróż była fatalna. Zaczęły się roztopy. Bardzo głębokie zasy. Do-

póki droga była udeptana i trzymała się jakoś, to woły przecho-
dziły, ale później, gdy zaczęło to wszystko mięknać, to się za-
padały po brzuch. Te 16 km jechaliśmy cały dzień, od rana do
wieczora. Wieczorem przybyliśmy na stację. Okazało się, że jesz-
cze wagonów nie ma. Parę dni czekaliśmy na podstawienie. Sie-
dzieliśmy w poczekalni stacji kolejowej. Zimno jeszcze było. Za-
wiadowcy nosili^{śmy} różne podarunki, żeby nam dał drzewo czy wę-
giel na ogrzanie poczekalni.

Tam has już było dużo. Przyjeżdżali Polacy i z innych kołcho-
zów. To był punkt zbiorczy. Dołączyło co najmniej kilka rodzin.
Podstawiono chyba trzy bydlęce wagony.

Warunki były na tyle dobre, że można było wejść, wyjść, był
ruch. Przy dłuższym postoju można było spacerować czy pójść na
dworzec^o. Żadnego konwoju. Wracaliśmy jako wolni ludzie. Nie mie-
liśmy żadnych zaświadczeń, biletów. Każdemu pokazano miejsce,
gdzie ma się rozładować. Bez żadnych dokumentów. Każdy wracał
- za tzw. przyzwoleniem. Nic innego się nie liczyło.

W wagonie w powrotnej drodze było luźno. Wracało dużo mło-
dzieży, ruchliwej, ciekawej okolic, korzystającej z wolności.
Cieszyliśmy się, napięcie nie szabło do ostatnich dni. Każda noc
przejechana przez pociąg to, jak liczyliśmy, co najmniej 100 km
bliżej Polski. Przybyliśmy ponad 6 tys. km. Transsyberyjską tra-
są jechaliśmy: przez Kujbyszew, Char^ków, Kijów.

Dostawaliśmy gorącą wodę, dostaliśmy zapomogę UNR-owską na
podróż w postaci konserw. Tak że już było, można powiedzieć,
dobrze. Choćby już ta gorąca wody dużo d^awała - mogliśmy przy-
rządzać mleko. Poza tym na wszystkich większych stacjach, dłu-
ższych postojach Rosjanie dawali nam zupę.

Granicę polsko-rosyjską przekraczaliśmy w nocy i tak niepo-
strzeżenie przejechaliśmy, że nawet nie wiem, w którym miejscu.

Ostatnią stację zapamiętałem - Kijów. W Kijowie byliśmy 9 maja 1946 roku. W pierwszą rocznicę zwycięstwa - iluminacje świetlne, rakiety.

Polaków zobaczyliśmy na jakiejś niedużej stacyjce. Nic się już wtedy nie liczyło, jak to że jesteśmy w Polsce. Złapaliśmy już głęboki oddech, tę ^e pewność, że już jesteśmy na swoim, że już nas nie cofną.

W czasie podróży na terenie ZSRR stale obawialiśmy się, że może coś zająć - jakieś zmiany, nieporozumienia. Baliśmy się konfliktu naszego rządu z rządem rosyjskim, bo to wszystko miałoby wpływ na nasz powrót. W rozmowach z mężami zaufania nieraz słyszeliśmy, że po śmierci Sikorskiego stosunki ze Stalinem pogorszyły się znacznie. Że nie było drugiej takiej osoby, mającej taki wpływ na Stalina ja Sikorski. Ale jakoś, jakoś się później znów ułożyło. Rosjanie tam przewidywali, że pozostaniemy już na stałe i to nas najbardziej dobijało. Mówili nam: "No, wasz Sikorski pagib. Więc wasze szanse są już znikome."

Natomiast o cofnięciu jakiegoś transportu nie słyszeliśmy.

Z rodziny tylko my jedni byliśmy wywiezieni. Wszyscy pozostali byli już na liście, ale na czas późniejszy i uratowali się. Kiedy front cofnął się na zachód, korespondowaliśmy z zesłania z rodziną mieszkającą nadal w Ostrowcu. ³W od nich dowiedzieliśmy się, że nasz wujek wyjechał do Polski, jest w Choszczynie. i ma dla nas dom - stały tam puste gospodarstwa poniemieckie /całe wsie/, w których był nawet jeszcze inwentarz; czekały na nas. I zbiegiem okoliczności przejeżdżaliśmy przez Choszczno. /Wieziono nas na wyspę Wolin przez Poznań./ I wysiedliśmy.

Przedtem przez kogoś, kto jechał w tajnym kierunku powiadomiliśmy wujka o naszym przyjeździe. Wtedy ludzie byli bardzo

życzliwi. Nawet gdy mieli jechać kilkanaście kilometrów z drogi, to też jechali i zawoładamiali, bo było to niesamowite przeżycie. Zresztą przedstawialiśmy obraz nędzy i rozpacz - ludzie przystawali i oglądali nas jak dziwolągi. Ważyłem wtedy 32 czy 33 kg, a miałem 15 lat.

W Choszczynie znaleźliśmy się 17 maja 1946 r. Osiedliliśmy się jednak koło Ornety. Dostaliśmy na wsi maleńkie gospodarstwo.

Przyjęto nas w Polsce bardzo życzliwie. Przez władze też. Przez urzędy repatriacyjne /PUR/ dostawaliśmy przez dłuższy czas pomoc UNR-owską, nawet chleb za darmo. Poza gospodarką otrzymaliśmy jeszcze konia. Mogliśmy też krowę dostać, ale w międzyczasie krowę dostaliśmy od wujka w drodze rozliczeń rodzinnych. Stawaliśmy na nogi dosyć szybko.

Kiedy po dwóch latach szkoły rolniczej poszedłem do gimnazjum, ^onapisałem podanie-życiorys i opisałem w nim swój pobyt na Syberii. Przyszedł do klasy dyrektor z moim życiorysem. Kazał mi wstać. "Człowieku, coś ty za głupstwa napisał?!" Nie wiedziałem, o co chodzi. Rzucił mi go na ławkę "Masz go przepisać!" Przetęczyłem, wszystko się zgadzało. Więc przepisałem jeszcze raz prawie tak samo i na drugi dzień przyniosłem. Dyrektor wezwał mnie do siebie, zbeształ niesamowicie i mówi: "Człowieku powiedziałem ci, że masz nie pisać, że byłeś na Syberii." Nie wytłumaczył mi dlaczego. Zrozumiałem tylko, że faktycznie lepiej się z tego wycofać, bo jest to niemile widziane przez władze. Napisałem więc życiorys trzeci raz - skrócony o pobyt na Syberii.

Później gdy poszedłem do wojska, do zawodowej służby jako felczer, musiałem już to absolutnie zataić i zrobiłem to całkowicie świadomie. Gdybym napisał, nie miałbym żadnych szans być przyjętym do felczerskiej szkoły wojskowej. Ale zataiłem i nie

miałem kłopotów. Trafiłem nawet na życzliwych oficerów, którzy też przebywali na Syberii, co ujawniali w rozmowach w cztery oczy. Może też dzięki temu się szczęśliwie skończyło.

O mojej przeszłości na pewno było wiadomo. Było wielu donosicieli, a ja będąc w kompani, wcale nie kryłem, że byłem na Syberii. Podchorążowie przychodzili do mnie w wolnym czasie i prosili, żebym opowiadał, jak tam było rzeczywiście. I to doszło do Informacji - to wojskowe UB w tamtych latach. Wezwano mnie i proszono, żebym nic nie opowiadał. Ostrzegano, że będę miał kłopoty. Że grozi mi nie tylko wyrzucenie ze szkoły, ale że w takim wypadku nie mam się spodziewać powrotu do domu po zwolnieniu. Takie aluzje, nic konkretnego.

Po dojściu Gomułki¹ do władzy wszystko złagodniało: nie zwracano nikomu uwagi; jeżeli słyszeli, że ktoś opowiada o Syberii, to starali się z tego kpić, żartować, traktować niepoważnie osobę, która opowiadała.

Michał ŁUKOJÓ - Polak. Brat Kazimiery SOKOŁOWSKIEJ z domu ŁUKOJÓ. Do 1946 r. mieszkał w Ostrowcu koło Wilna. Przyjechał do Polski w 1946 r.

Alfreda KOŚCIUKIEWICZ - Polka. Córka Emilii KOŚCIUKIEWICZ. Siostra Jana KOŚCIUKIEWICZA. Przed 1941 roku mieszkała koło Oszmiany. Wywieziona w 1941 r. Lata 1941-1946 przeżyła w kołchozie Leninskoje koło Jużakowa i potem w Jużakowie. Wróciła do Polski w 1946r.

Emilia KOŚCIUKIEWICZ - Polka. Matka Alfredy i Jana KOŚCIUKIEWICZÓW. Przed 1941 rokiem mieszkała koło Oszmiany. Wywieziona w 1941 r. Lata 1941-1949 przeżyła w kołchozie Leninskoje koło Jużakowa i później w Jużakowie. Wróciła do Polski w 1946r.

Jan KOŚCIUKIEWICZ - Polak. Syn Emilii KOŚCIUKIEWICZ. Brat Alfredy KOŚCIUKIEWICZ. Przed 1941 r. mieszkał koło Oszmiany. Wywieziony w 1941 r. Lata 1941 - 1946 przebywał w kołchozie Leninskoje koło Jużakowa a potem w Jużakowie. Wrócił do Polski w 1946 r. Ukończył szkołę oficerską w Riazaniu. Mieszka w Warszawie. Ma stopień pułkownika. Adres: Warszawa.

MATUSEWICZ - Polka. Pochodziła spod Oszmiany. Wywieziona w 1941 roku do 1946 r. przebywała na zesłaniu w kołchozie Leninskoje koło Jużakowa i w Jużakowie. Wróciła do Polski w 1946 r.

SECANKO - Polka. Właścicielka majątku koło Ostrowca. Wywieziona przez Rosjan w 1939/40. W 1946 r. wróciła do Polski. Nie żyje.

Jan SOKOŁOWSKI - Polak. Urodzony w 1895 r. Cieśla. Mieszkał do 1941 r. w Ostrowcu koło Wilna. Ojciec ^{Mariano} ~~Piotra~~ i Pelagii SOKOŁOWSKICH. Mąż Kazimiery SOKOŁOWSKIEJ z domu ŁUKOJÓ. W 1941 roku aresztowany przez Rosjan. Przebywał w więzieniu w Oszmianie. Wydostał się z niego po wejściu Niemców. Organizował AK. Rozstrzelany przez Niemców w 1942r. w Ostrowcu.

~~Kazimiera SOKOŁOWSKA~~ - Polka. Żona Jana SOKOŁOWSKIEGO. Matka ~~Matka Mariana i Pelagii SOKOŁOWSKICH~~

Kazimiera SOKOŁOWSKA z domu ŁUKOJÉ - Polka. Żona Jana SOKOŁO-
WSKIEGO. Matka Mariana i Pelagii SOKOŁOWSKICH. (Urodzona w 1885 r.)
W 1941 r. wy-
wieziona przez Rosjan. Lata 1941-1946 spędziła w kołchozie
Leninskoje koło Jużakowa i potem w Jużakowie. Wróciła do
Polski w 1946 r. Nie żyje.

OLECHNOWICZ z domu
Pelagia SOKOŁOWSKA - Polka. Córka Jana SOKOŁOWSKIEGO. Siostra
Mariana SOKOŁOWSKIEGO. Wywieziona przez Rosjan w 1941 r.
Do 1946 przebywała w kołchozie Leninskoje koło Jużakowa i po-
tem w Jużakowie. Wróciła do Polski w 1946 r. ~~Mieszkała~~
Adres: Nowy Dwór koło Ornety koło Olsztyna.

SZYMAŃSKA - Polka. Pochodziła z Warszawy. Wywieziono ją w 1941
roku. Do 1946 roku przebywała w kołchozie Leninskoje koło
Jużakowa a potem w Jużakowie. Wróciła do Polski w 1946r.